

najLepszy

24 grudnia 2007

...dam rade. Na tym ostatnim etapie nie może zabraknąć mi odwagi. Za dużo wycierpiałem, za dużo przeżyłem, za dużo oszczerstw słyszałem. Mam tego po prostu dość. Nóż jest ostry, sprawdzałem dwa razy, nic nie poczuje. Nie poczuje... a jeżeli jednak? Jeżeli ktoś usłyszy krzyk? Uratuje? Co wtedy powiem? Wypadek? Świadome targnięcie się na życie... Trudno, muszę to zrobić. Zawsze chciałem być najlepszy, a skoro nie mogę, to moim jedynym wyjściem jest ten nóż. Moje życie jest bez sensu, kiedy mam świadomość, że nie jestem najlepszy. Trudno. Chwila bólu i po wszystkim... chwila bólu... bólu...b...

Opowiem wam swoją historię.

Ileż to już ludzi zaczynało swoją ostatnią spowiedź w ten sposób? No cóż, może tak właśnie trzeba.

Może na tym ona polega.

Najważniejszą nauką jaką wyciągnąłem z dzieciństwa były słowa wypowiedziane pewnego razu przez mojego ojca. Przez lata jakie minęły zapomniałem jak dokładnie one brzmiały, ale ich przesłanie zawsze będzie kołatać w mojej głowie, szło to jakoś tak:

Jeżeli już coś robisz, to rób to najlepiej ze wszystkich, inaczej nie ma sensu abyś w ogóle zaczynał.

Wiele lat zajęło mi szukanie tego w czym jestem najlepszy. Naprawdę wiele... ale w końcu mi się udało. Nie wiem czy mój ojciec byłby ze mnie dumny, ba, nie wiem czy w ogóle by zaakceptował moją decyzję.

Zostałem poetą.

Pisałem wiersze. Odnajdywałem w tym nieskończoną radość. Radość twórczą, która pozwalała wznieść mi się ponad moje

szare i przeciętne życie. Za dnia pracowałem w restauracji jako kelner, po to, aby nocą dopieszczać mój debiutancki tomik. Byłem z niego nieskończenie dumny. Co wieczór, po powrocie z pracy, siadałem w swoim wielkim bujanym fotelu i czytywałem swoje, wcześniej napisane wiersze. Oczami wyobraźni już widziałem ludzi siedzących w parkach, w kawiarniach, na salonach, którzy rozanielonymi głosami recytowali wersy mojej poezji. Upajali się nimi, odnajdywali w nich to czego potrzebowali: pokrzepienie, nadzieję, miłość. Wielbili moją poezję. Wielbili jej twórcę... później brałem swoje pióro i nim nanosiłem na białe karty nowe strofy, rymy. Tworzyłem. I byłem szczęśliwy. Z każdym dniem, z każdym wieczorem byłem coraz bliżej ukończenia mojego ukochanego dzieła. Powoli zbliżałem się do uwieńczenia mojej czteroletniego wysiłku. Byłem już niemal u kresu drogi...

...nóż jest taki ostry, spójrzcie z jaką łatwością tnie ciało...

Skończyłem.

A koniec był początkiem.

Byłem w pracy. Jak zwykle usługiwałem bogatym ludziom, myśląc, jak to już niedługo będą oni wspominać mnie i żałować nie wypowiedzianych teraz słów. Znowu marzyłem, powtarzałem sobie swoje wiersze... aż posłyszałem rozmowę dwóch starszych panów. Chodziło o spotkanie poetyckie. Obsługiwał ich ktoś inny, trudno, postanowiłem go zmienić. Stojąc tuż za nimi, już bez sprzeciwu wsłuchiwałem się w ich słowa. Obaj byli poetami.

– W tym roku ma ponoć coś wypuścić.

– Naprawdę?

– Tak, jego dwa opublikowane wiersze spotkały się z gorącym przyjęciem. To ponoć samorodny talent. Nikt go wcześniej nie odkrył. Chce nam w czwartek zademonstrować próbkę swego dorobku. Warto przyjść.

– Gdzie tym razem?

Nadstawiłem jeszcze bardziej swoje ucho...

– W kawiarni Pod Palmą. W tym samym miejscu co ostatnio.

– Będziesz?

– Oczywiście... – popatrzył w kartę dań. – Oczywiście. Kelner, chcemy zamówić...

Ale ja już myślami byłem pod palmami...

Dwa dni oczekiwań mięły mi na gorączkowym poprawianiu mojego tomiku.

I na modlitwie.

W końcu nadszedł czwartek. Od samego rana nie byłem w stanie nic przełknąć, właściwie to nie mogłem nic zrobić. Myślałem tylko o poezji i nadarzającej się okazji, aby zaistnieć. Aby stać się kimś. Aby spełnić marzenie.

Ktoś kiedyś powiedział mi, albo gdzieś to przeczytałem, że każda następna sekunda życia jest krótsza od poprzedniej. Wtedy się z nim zgodziłem.

Mylił się.

Z minuty na minutę miałem wręcz wrażenie, że czasu do spotkania przybywa.

Lecz i pierwsi będą ostatnimi... doczekałem się.

Stojąc pod kawiarnią zastanawiałem się czy nie zostanę wyśmiany. Przecież tam w środku siedzieli poeci. Prawdziwi. Znani, bardziej lub mniej, ale znani. Właśnie wtedy przypomniałem sobie słowa które padły przed dwóch dni w restauracji: „... to ponoć samородny talent. Nikt go wcześniej nie odkrył...”. A zaraz potem słowa mego ojca. Zdecydowanym krokiem wszedłem do środka.

... życie uchodzi. Patrzę jak odpływa z każdą kroplą sączącej się krwi. Ale czy mogłem jakoś uratować swoją duszę? Czy wchodząc do tego miejsca przypieczętowałem swój los? Teraz za późno na szukanie odpowiedzi...

– Przepraszam bardzo. – rzekłem cicho. – Czy to byłby duży nietakt, gdybym panom coś przeczytał? – nieśmiało zapytałem. – Tylko kilka wierszy ...bo widzą panowie...ja...ja...piszę sam i...za bardzo nie wiem... – skąd nagle w moich ustach ta dziwna suchość? – ...co o tym myśleć.

Wszyscy spojrzeli na mnie, ni to badawczo, ni z rozbawieniem, jednak nikt się nie odzywał.

– Ależ proszę. – rzekł nagle młody chłopak, chyba był w moim wieku. – Jak wieczór z poezją, to z poezją. Słuchamy.

Wzrok zebranych spoczął na mnie niczym ciemność na pustyni.

Zacząłem.

Pierwszy raz czytałem swoje wiersze publicznie. Byłem urzeczony mocą jaka płynęła z posłuchu u tych ludzi. Przez ten krótki czas to ja byłem panem, ja byłem władcą... ja byłem Bogiem!

– ... jak na amatora to nawet... nawet... pomóż mi Mikołaju. – poprosił starszy jegomość ze sporym zażenowaniem.

– Nieźle?

– Nieźle. – przytaknął z ulgą. – Zgodzisz się ze mną Albercie?

Albertem okazał się ów młody człowiek, który zaaprobował mój występ. Teraz wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Nie. – rzekł po chwili.

Poczułem potężne uderzenie w samo serce. On to czuł! Czuł potęgę mojej poezji!

– To było... no cóż, przepraszam za szczerość, ale było żałosne. Okropne rymy, prostackie przesłania... to były jarmarczne wierszyki. Nie, nie wierszyki, rymowanki. Bardzo mi przykro, ale nie będzie pan poetą.

– ...nie. – zdołałem tylko wyszeptać.

Chciałem być wszędzie, nawet w domu rodziców, byle nie tutaj. Czułem na sobie pełne politowania spojrzenie wszystkich zebranych... okropne rymy... ich ukrytą gdzieś głęboko satysfakcję z mojego upokorzenia... prostackie przesłanie... momentalnie nienawidziłem gości tego lokalu.

A najbardziej nienawidziłem Alberta.

I siebie.

Złapałem swoje wiersze i ze łzami w oczach uciekłem z kawiarni Pod Palmami.

Rymowanki.

Czytałem swoje wiersze. Jeden po drugim . Były cudowne. Przejmujące. Znowu uwierzyłem w siebie. I gdy skończyłem już swoje utwory odkryłem coś niezwykłego.

Inne wiersze. Całe strony wierszy.

Cudzych.

A najgorsze było to, że były lepsze.

...wiedziałem, że nim nóż uderzy w serce, muszę zrobić jeszcze jedną rzecz...

– Słucham, w czym mogę pomóc? – Albert najwyraźniej nie rozpoznał mnie. – Ja pana znam...?

– Tak, wieczór poetycki.

Widać, że sobie przypomniał. Jakby się trochę skurczył?

– Tak, już wiem... przepraszam za tamto. Trochę wypiliśmy przed pana przyjściem...ależ, niech pan wejdzie i nie marźnie na progu.

– Nie dziękuję, ja tylko na chwilę. – oponowałem usilnie. – Chciałem panu coś oddać.

Wyciągnąłem z teczki jego wiersze.

– Zabrałem je przez przypadek, gdy wybiegłem z kawiarni. Przepraszam.

– Nie ma za co. Teraz to już nalegam, proszę, niech pan wejdzie chociaż na trochę. Zaparzę herbaty.

– mówił to już idąc do kuchni. To były ostatnie słowa jakie słyszałem. Po wejściu do pokoju usiadłem na kanapie. Rozejrzałem się po pokoju. Pokoju poety.

– Ja nigdy nie będę takiego mieć. – wyszeptałem smutno pod nosem wyciągając nóż. Zrobię to tu, niech wie, że to jego wina.

Nóż łatwo przeciął nić życia.

Cicho.

Szybko.

Ostatecznie...

...koniec.

Do księgarni tomik wierszy trafił na jesieni następnego roku. Z miejsca stał się najlepiej sprzedawaną pozycją poetycką ostatnich lat.

I tyluż, ilu było czytelników – miłośników – wielbicieli, tyleż było teorii co oznaczała tajemnicza dedykacja.

„Mojemu przyjacielowi, Albertowi, który swoim życiem dał sens mojemu.”

Autor: Franciszek Mocek

Źródło: [Autentyk](#)